

Teatr Jaracza obniża loty. „Dybuk” – to kolejny w tym sezonie spektakl, o którym przed premierą mówiło się dużo i zachęcająco, a którym premierowa publiczność była raczej rozczarowana niż oczarowana.

„Dybuka” przygotowano z okazji obchodów Roku Kultury Żydowskiej i pomysł sam w sobie bez wątpienia jest godny uznania. Polska premiera tej sztuki odbyła się właśnie w Łodzi, w 1925 r., inicjatywa łódzkiego teatru jest więc cenna dla podtrzymania tradycji. Po przedsięwzięciu tej rangi można się było spodziewać, że będzie podwójnym wydarzeniem: artystycznym i towarzyskim. Kuluary zaaranżowano starannie, to fakt. Był ambasador Izraela Miron Gordon, łódzka śmietanka towarzyska w komplecie: władze, politycy, biznesmeni, ludzie kultury, był szampan i orzeszki. Strona artystyczna wypadła, niestety, gorzej.

Typowy goj zna żydowską tradycję z „cepeliońskiego” „Skrzypka na dachu” i obrazków z brodatymi Żydami przed bóżnicą albo ceremonią zaślubin pod hupą. Goj pogubi się w „Dybuku”, sztuce o tak wielu warstwach i płaszczyznach interpretacyjnych, że aby je wszystkie objąć, trzeba być absolwentem jesiwi. Przed wojną dramat

An-skiego grywany był w teatrach żydowskich i Żydzi stanowili większość na widowni. Kto wystawia tę sztukę dla powojennych gojów, powinien zdecydować się na taki kształt sceniczny, który pozwoliłby przynajmniej jedną z płaszczyzn odczytać do końca. Tego właśnie w łódzkim przedstawieniu zabrakło.

„Dybuk” był jednocześnie cepelią, żydowskim misterium poetyckim, filozoficzną przypowieścią oraz „Dziadami” Mickiewicza, Drugą, Czwartą i Trzecią częścią „w jednym”. **Bogusławowi Suszce** (Chanan) młody żydowski heretyk pomylił się najpierw z Konradem, potem z Gustawem. Wolałam go jako Gustawa, bo wtedy mniej mówił, a za to „wyglądał”. Nie poradził sobie ani z filozoficznymi przesłankami herezji, ani z jej demonicznym klimatem, a jego partner **Marek Kasprzyk** dodatkowo zdołował go w każdym z dialogów. Nie wyobrażam sobie gorzej niż przez tę dwójkę mówionych fragmentów „Pieśni nad pieśniami”. **Agnieszka Kowalska** (Lea) skoncentrowała się

Robota gojów...



Fot.: Romuald Sakowicz

na tej części swojej roli, w której jest opętana przez dybuka. Wyla i miotała się nader artystycznie. Nie miała za to pomysłu na zagranie zwykłej zakochanej dziewczyny. **Piotr Krukowski** (reb Azriel) był mniej więcej o czterdzieści lat za młody i o kilka klas aktorskich za słaby do roli mądrego rabi- na, wypędzającego dybuka mocą swych zaklęć i autorytetu. Inne role były albo zupełnie położone, albo nie przemyślane do końca. Wszyscy „starzy Żydzi” miotali się pomiędzy koncepcją bohatera szmoncesów i gderliwego polskiego szlachciury.

Zalety znalazłam trzy: nastrojową, na folklorze żydowskim opartą muzykę **Piotra Hertla**, równie nastrojowe światło **Krzysztofa Sendke** oraz zagospodarowanie przestrzeni scenicznej, które jest, jak przypuszczam, wspólną zasługą **Waldemara Zawodzińskiego** (reżyseria) i **Janiny Niesobskiej** (ruch sceniczny). Było w spektaklu wiele świetnych wizualnie scen zbiorowych, umiejętnie rozłożonych na kilku planach. Gdyby wynaleźć filtr, który przepuszczałby tylko dźwięki muzyki, a zatrzymywał głos aktorów, można by spędzić na „Dybuku” miłe chwile.

A tak, wypadło byle jak. Wielka szkoda.